

POKOCHAM CIĘ,

DOPIERO GDY UMRZESZ



ANDRZEJ F. PACZKOWSKI

Andrzej F. Paczkowski

**POKOCHAM CIĘ,
DOPIERO GDY UMRZESZ**

© Copyright by Andrzej F. Paczkowski & e-bookowo

Redakcja i korekta: Klaudia Wcisło, Marta Bluszcz

Projekt okładki: Klaudia Wcisło, e-bookowo

Zdjęcie na okładce: Wiktor Mróz

ISBN e-book: 978-83-8166-344-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2023

Część 1

Moja matka kochała Karela

Jego śmierci nikt się nie spodziewał, aczkolwiek już długi czas borykał się z chorobą. Był wielką gwiazdą. Największą, jaką pamiętał kraj i ludzie. Takie gwiazdy zapalają się jedynie raz na tysiąc lat. I nigdy nie gasną.

Właściwie wszyscy myśleli, że będzie żył wiecznie. I coś w tym jest z prawdy, ponieważ pozostawił po sobie tysiące piosenek i setki płyt, które nigdy nie zostaną zapomniane, a on wraz z nimi.

Florek pamiętał, jak pewnego razu szedł przez Pragę, po Placu Waclawa, i w pewnym momencie zatrzymał się na chwilę. Rzadko zdarzało się, że postanawiał stanąć w miejscu, usiąść na najbliższej ławce i po prostu zacząć myśleć o sprawach właściwie go nie dotyczących. Jego życie zbyt szybko biegło, a on, chcąc mu dotrzymać kroku, musiał nieustannie biec do przodu. W przeciwnym razie pozostałby w tyle. Tamtego dnia usiadł i pomyślał: co się właściwie stanie, kiedy ON umrze? Przecież to się nie może stać. Są ludzie, bez których świat wydaje się pusty, a życie niemożliwe.

W Czechach panowała związana z nim dziwna atmosfera. Wszyscy go słuchali, ale zwykle nikt z młodych nie przyznawał się do tego. Zapytawszy kogoś, czy słucha jego piosenek, słyszało się odpowiedź, że nie. Często towarzyszył temu śmiech: „Jak ja mogę słuchać takiej muzyki? Opamiętaj się!”

W tajemniczych okolicznościach jego nowe płyty sprzedawały się jak świeże bułeczki. Za każdym razem w rankingu sprzedaży nowa płyta skakała na pierwsze miejsca. Koncerty zawsze były wyprzedane, piosenki znali wszyscy na pamięć. Ale nikt go nie słuchał.

Florek poszedł kiedyś na mega koncert. Ogromna arena. Dwadzieścia tysięcy ludzi. Gwiazda po siedemdziesiątce. Kogo zauważył na miejscu? Wszystkie generacje! Starzy i młodzi, jak jedna rodzina. Wszyscy nie tylko wiwatowali, ale z radością na twarzy bili brawa. I śpiewali!

Więc z jednej strony nikt go nie słuchał, a z drugiej – wszyscy bawili się przy jego piosenkach, szli na koncert i oczywiście znali jego teksty na pamięć.

I Florka człowiek ten potrafił rozbawić. Nie było to jego pierwsze z nim spotkanie. Żył od lat w Pradze i zdarzały się momenty, kiedy bywał na zamkniętych imprezach tylko dla VIP-ów. Tam go widywał. Pewnego dnia zrobili sobie wspólne zdjęcie, które teraz jest dowodem tamtego spotkania. Wspomnieniem. Przeszłością właściwie. Tym, co było i już nigdy nie wróci. Bo dwa takie same życia się nie zdarzają...

Krótką rozmowa z mistrzem. Respekt przed majestatem. Wstyd za siebie, że jednak nie jest się takim obytym w świecie i jeszcze naraża się go na rozmowę ze zwykłym śmiertelnikiem. Chęć bycia kimś innym. Pragnienie życia życiem tego człowieka, chociażby w małym stopniu. Przecież ja, Boże, nie chcę chyba tak wiele?

Splątane myśli. Zdenerwowanie. Tęsknota za czymś, co nie wiadomo, czy było mu pisane. Bo zdaje sobie sprawę, że

jednak nie zawsze można osiągnąć to, co sobie człowiek zaplanuje czy postanowi. Czasami życie jest nam wręcz narzucone. A właściwie jego jakieś tam przeżywanie. Mówi się, że jest czystą kartką, którą zapisujemy. Niestety, Florek uważał inaczej: życie jest tylko przeżywaniem wydarzeń ze stron, które już dawno temu zostały zapisane. W innej przestrzeni. W innym czasie. Przed przyjściem na świat.

Tylko nieliczni mogą wspiąć się na wyżyny.

Stojącemu przed nim mistrzowi się udało.

Powiadają, że czasami w życiu nie chodzi o to, by mieć wielki talent, ponieważ w różnym stopniu każdy z nas go posiada. Chodzi o to, by danego dnia o danej godzinie być na właściwym miejscu. To się nazywa szczęście.

Bo przecież iluż ludzi z talentem po prostu przeżywa swoje życie i nikt o nich nie wie? Albo im się po prostu nie udaje wzbic na wyżyny sławy?

Stojąc przed nim, Florek odczuwał też strach, że może powie coś nie na miejscu. Dlatego czasami z tego powodu po prostu lepiej było milczeć. Niekiedy też, bo i tak bywa, nie decydujemy się nawet podejść, nie ośmielamy się powiedzieć słowa, myśląc, że przecież nikt nie jest ciekawy tego, co mu mamy do powiedzenia.

A jeżeli już dojdzie do takiej sytuacji, po powrocie do domu mówimy do siebie na głos w tych gorszych słowach, wyrzucając sobie bojaźliwość, niepewność, zmarnowaną szansę. Przecież wystarczyło tylko zdobyć się na odrobinę odwagi. Jeden mały gest...

Postanawiamy kolejnym razem to zmienić. Wtedy podejmiemy, podziękujemy, powiemy, jak wiele dla nas znaczy jego muzyka, jak lepszy dzięki niemu jest świat.

Albo przeciwnie. Podchodzimy, aczkolwiek trzęsą się nam nogi. Chcemy coś powiedzieć, ale głos nagle odmawia posłuszeństwa. Drży. Załamuje się. Zaraz zrobimy z siebie idiotów – myślimy, lecz brniemy dalej, bo przecież jesteśmy tu przed nim, on stoi obok nas, to jest wyjątkowa okazja, niemalże święto. Nie możemy panikować, poddawać się. To taki sam człowiek jak my – staramy się przekonywać sami siebie, by chociaż w ten sposób dodać sobie otuchy. W jego żyłach nie płynie niebieska krew.

On uśmiecha się do nas. Oto dochodzi do zupełnie niezrozumiałej sytuacji. Nagle ziemia łączy się z niebem. Mistrz przemawia do ucznia. Anioł porywa się spojrzeć na człowieka. Chwilowa kopulacja dwóch światów, z której później narodzi się euforia.

W tym wypadku, jeśli chodzi o tego człowieka, nie ma miejsca na chimery, na złośliwość i niecierpliwość. Wręcz przeciwnie. Ten człowiek jest cierpliwością samą w sobie. Uśmiecha się. Nastawia uszu na obce słowa. Jest ciekawy, co mu powiemy. Interesuje się nami. Patrzy na nas z ciekawością. Dotyka ramienia. I czujemy przede wszystkim coś, co nas oszałamia w tej postawie, czego się przecież nikt nie spodziewał wyczuć.

Pokora.

Jedno małe słowo, a takie wielkie znaczenie. Gdyby ktoś chciał opisać tego wielkiego człowieka, nie mógłby pominąć

właśnie tego słowa. I nie pomija. Bo bez niego nie da się go właściwie dobrze określić.

Pokora jest silnie związana z mistrzem. Bez niej nie ma jego samego. Już dawno temu poznał tajemnicę życia: człowiek musi być ważny dla drugiego człowieka.

Mistrz również zdaje sobie sprawę z tej najważniejszej rzeczy na świecie. Pewnego dnia mówi w jednym z wywiadów: „Bez was nie byłoby mnie”.

Gdyby tak każdy, kto nie dorósł mu do pięt, lecz dumą i pewnością siebie przewyższa go stukrotnie, gdyby ten ktoś połąsił się chociaż na chwilę zamyślenia nad tymi słowami...

Ustawiają się oboje do zdjęcia. Niby dwoje zwykłych ludzi. Niby tacy sami. A jednak każdy z nich jest inny. Dzielą ich generacje. Kiedy mistrz się urodził, jego jeszcze nie było na świecie. Nie było go jeszcze przez następne czterdzieści trzy lata. W tym czasie mistrz piął się w górę swojej kariery i zdobył ogromną sławę. Przeżył połowę swojego życia.

On urodził się dopiero w osiemdziesiątym drugim. W zupełnie innym państwie. Mistrz miał już za sobą młode lata. Był dojrzałym mężczyzną.

Pierwszy raz dowiedział się o nim z telewizji. Mieszkali szesnaście kilometrów od granicy, czeska telewizja była więc ich chlebem powszednim. Często oglądali Veczerniczek i machali mu rękami, tak samo jak on, kiedy mówił słodkim głosem: „Dobrou noc”.

Babcia, od kiedy pamiętał Florek, słuchała czeskich piosenek. Na śląsku mówiło się, że śpiewają Pepiki. Czarno-biały telewizor. Wieś. Muzyka ludowa w czeskim języku.

Babcia, której już nie ma i z której pewnie dawno ucztę zrobiły sobie robaki. A tyle krzyku czasami było. Tyle zła. I cały tamten świat dawno już zniknął i pokrył go kurz niepamięci. Czasami jakieś wspomnienie, coś tam błysnie przed oczami, jakaś lampka zapali się w jego głowie, kiedy o czymś sobie przypomni. I choć było to jakieś trzydzieści pięć lat temu, myśli, że to było tak dawno. Jakby w innym życiu. Czy to naprawdę się zdarzyło? A może mu się tylko wydawało? Pamięć przecież lubi płątać figle.

Mama tańczyła. Jego kochana mama należała do pięknych kobiet. Szczuplutka. Kręcone, ciemne włosy. Miły, wielki jak cała Polska uśmiech i ładne, równe zęby. Małe dłonie, które tak wiele musiały pracować, dźwigać, taszczyć.

Mama należy do wesołych ludzi, aczkolwiek i jej życie nie szczędziło trosk. A może ona tylko należała do tych wesołych, lecz tej osoby już w niej nie ma? Bo kiedy mama ostatni raz tak sobie tańczyła? Kiedy się śmiała? Bawiła? Starzejący się ludzie nie wiadomo dlaczego uważają, że im się śmiech nie należy. Są za starzy by się wygłupiać. Może nawet pewnego dnia obudzili się i stwierdzili, że zapomnieli, jak to jest się śmiać. Któregoś dnia może pomyślał, że oni przecież nigdy takich rzeczy nie robili...

W telewizji leci oczywiście czeska muzyka. Mama śpiewa i tańczy. Na obrazie odbiornika widnieje człowiek: mężczyzna o czarnych włosach, które kręcą się lekko, jak kręciły się na głowie mamy. Dobrze ubrany. W garniturze. Śpiewa w innym języku. Uśmiecha się, a wtedy i mama się uśmiecha. Nuci, akompaniuje mu, aczkolwiek nie zna wszystkich słów na pamięć.

Mistrz jest tylko w telewizorze. Setki kilometrów stąd.

Mistrz nie widzi wzroku uwielbienia śpiewającej z nim kobiety.

Ale daje jej coś, czego nie ma w życiu za wiele: radość chwili.

Florek, wpatrzony również w telewizor, nie widzi w nim wtedy nic nadzwyczajnego, co by mogło tak bardzo go oczarować jak jego mamę. Widzi tylko zwykłego, śpiewającego człowieka w garniturze.

„Jest taki przystojny!” – woła mama.

Florek patrzy i jakoś nie potrafi w nim dojrzeć niczego zachwycającego. To znaczy – nie widzi w nim urody. Ale mama jest oczarowana. Więc widocznie tak jest. Ale nie dziwny się, dziecko nie potrafi przecież widzieć w dorosłym piękna, które dojrzy dwadzieścia lat później, kiedy to będzie już patrzyło na świat zupełnie innymi oczami.

„Mój kochany Karel!” – znowu woła mama, wirując w tańcu. Łapie go za ręce i wywija z nim piruety. Dziecko śmieje się głośno. Matka jakby zwariowała, nie zachowuje się tak często. Jednak jest to bardzo miłe uczucie. Zawsze, kiedy mama się śmieje, śmieje się i on. Życie jest wtedy piękne.

Nie pamięta, czy jeszcze kiedyś matka była taka szczęśliwa jak wtedy. Dziecko mało co zresztą pamięta ze swego dzieciństwa.

Minęły lata, a - jak wiadomo - los potrafi rzucić nas w różne miejsca. Tak i jego rzuciło do kraju mistrza.

Czechy: kraj bajek i zamków, śmiesznego języka i miłych ludzi, witających się śmiesznym, ale jakże czarującym słowem „ahoj”.

Po dwudziestu latach od tamtego wspomnienia on sam, zamiast matki, spotyka się z mistrzem osobiście. Kiedy myśli o tym, łzy zbierają się w jego oczach.

Po śmierci geniusza zdawało się, że będzie spokój. Ale czy kiedykolwiek może być na świecie spokój? Hieny żerują. Każdy chce zarobić na sensacji, na czymś nieszczyście, na pogrzebie. Jak na przykład znane szmatławce. Im więcej bzdurnych tytułów, tym lepsza sprzedaż. Z mistrza każdy robi sobie kozła ofiarnego. Zarabiają na jego sławie kasę. Pieniądzy nigdy nie jest dość.

Zresztą warunek powstawania tytułów, jakim muszą się kierować piszący dla danej taniej gazety jest jeden: pisać dla głupców, tak, żeby to zrozumieli. I co można sądzić o ludziach, biorąc pod uwagę dziesiątki tysięcy egzemplarzy takiego czasopisma sprzedanych w ciągu dnia?

Kto był na pogrzebie, a kogo zabrakło. Kto został w katedrze i z jakiego powodu. Kogo żona mistrza zaprosiła na stypę.

Ostatnie pożegnanie z rodziną zmarłego nastąpiło przed krematorium, tuż obok kontenera na śmieci. Nagłówki jeden za drugim prześcigają się w dziwacznych, niezrozumiałych zawodach, tylko nikt nie wie, co chcą wygrać i po co to robią. Tak, bo to prawdziwy wyścig szczurów. Kto pierwszy, ten lepszy. A kto lepszy? Ten, kto wymyśli większy absurd.

Chodzi jak zwykle o pieniądze. Aby na kimś zarobić, jak się da.

Florek zastanawia się czasem, czy ludzie naprawdę są w stanie zapłacić za czytanie bzdur? Zawsze wydawało mu

się, że nie, jednakże po sprawdzeniu okazuje się, że przerażająca liczba ludzi to właśnie robi. Zapłacić jednak to jedna rzecz, ale jeszcze trzeba uwierzyć temu, co się czyta. A ludzie wierzą!

Zastanawia się, jaki jest tego powód.

Wyjaśnienie jest bardzo proste: otóż ci zwykli ludzie chcą się karmić życiem innych ludzi. Tych, którym się udało, którym wiedzie się lepiej, są bogatsi, mają sławę, mają życie, o którym im tylko się marzy. Czytając brukowce, chociaż przez chwilę mogą powzdychać, częściej ponarzekać, krytykować. My przecież wiemy lepiej, jak oni powinni żyć. My potrafimy osądzić. Przynajmniej do tego mamy prawo.

Zapewne wielu z tych ludzi, czytając o ich sprawach i o trudnych sytuacjach myśli, że czyta o kimś, kogo dobrze zna. Bo przecież historiami z życia takiego mistrza są karmieni przez całe życie. Więc nie ma innej możliwości. Oni go po prostu znają. Mówią o nim, jakby się z nim przed chwilą widzieli. Jakby byli jego powiernikami. Najlepszymi przyjaciółmi.

Osądzają go. Bo mają do tego prawo.

Tak, prawo mamy. Ale dlaczego chcemy żyć życiem innych ludzi? Czy nasza codzienność jest tak bardzo pusta i smutna, że jak wampiry ssiemy z gazet bzdury i zaśmiecamy tym swoje myśli? Czy warto każdego dnia dawkować sobie, oprócz kofeiny, alkoholu czy chemii w jedzeniu, jeszcze niepotrzebne narkotyki?

Mistrz miał dwie córki. Mąż jednej zapowiedział, że będzie się sądził z rodziną o więcej pieniędzy. Według gazet dostali tylko sto tysięcy euro. Tymczasem córka mówi, że nie

zamierza się sądzić, lecz chce się rozwieść z mężem. Gazety krzyczą, że jest alkoholiczką, że od razu po pogrzebie uciekła za granicę, do domu, do pracy. Że na pogrzebie poczuła się dotknięta przemową przyjaciółki mistrza.

Może to jest prawdą, ale chyba lepiej nie wyciągać od ludzi takich informacji. Mistrz jeszcze na dobre nie odszedł, a już zlatują się sępy. Tylko gdzie jest padlina? Na razie trzeba węszyć. Padlina zawsze się znajdzie, a jeśli nie, zrobi się ją sztucznie. Byle ogłupiały lud trochę nakarmić.

Pewnego dnia znowu spotkał mistrza. Centrum. Miasto w swym biegu krzyczało. Tłumy ludzi przesuwwały się po chodnikach. Tramwaje starały się dawać znaki pieszym, by chociaż na chwilę zwracali uwagę, gdzie idą i jak idą. Zgiełk wielkiego miasta. Gołębie robią ludziom na głowy, przelatując obok. A w tym zgiełku on. Mistrz we własnej osobie.

Bywają takie momenty w życiu, o których nam się nawet nie śni. Jak ten, kiedy dochodzi do spotkania nieba z ziemią. Z początku nie zdajemy sobie sprawy, co się zdarzyło, lecz nagle zostaje zachwiana równowaga naszego świata. Równowaga świata zwykłych ludzi. Gwiazdy świecą na niebie! Gwiazdy nie mogą zabłąkać się pomiędzy nich. Przecież nie tak został ten świat skonstruowany! Nie wiemy, czy ma nas ogarnąć panika i mamy uciekać? A może w tym czasie będziemy zdezorientowani i staniemy w miejscu, nie wiedząc co czynić, a wtedy bardzo prawdopodobne, że ktoś na nas wpadnie, szturchnie nas, nadeptnie, zezłości się, że stoimy, że nie posuwamy się jak inni, do przodu, na siłę. Nie można przecież w tym zgiełku nawet na chwilę się zatrzymać.

Życie tutaj pędzi. Wszystko się rusza, nawet mrówki chodzące obok kosza z odpadkami. Żyją nawet śmieci, rozrzucone przez tłum, przesuwane kopnięciami i deptane. Jesteśmy przez chwilę zdezorientowani. Ale możemy też w tym czasie wpaść w zachwyt. To on! Mistrz! Stoi przed nami! Serce zaczyna nam bić mocno, zdaje się, że za moment wyskoczy z piersi, więc odruchowo łapiemy się za nią i czujemy, jak wali, jakby dawało nam znaki, że oto dzieje się z nami coś złego. I może też nastać taki moment, że od razu wiemy, co mamy robić. Spływa na nas spokój. Jesteśmy wdzięczni wszechświatu za ten moment. Oto zdarzyła się wielka rzecz: ty nie musisz go nigdzie szukać, czekać na niego, prosić. On stoi przed tobą. Właśnie tu. W tej chwili. O tej dokładnie godzinie. Od razu korzystasz więc z sytuacji i idziesz w jego stronę. Krok za krokiem. Z początku niepewnie, potem prędko, aby być jak najszybciej i jak najbliżej niego.

Euforia z takiego spotkania pozostaje nam na długie chwile. Może nawet będzie z nami jeszcze dnia następnego?

Kiedy wreszcie zdecydował się podejść do mistrza, ten spojrział wprost na niego. Nawiązali ze sobą kontakt wzrokowy. Chwilowe porozumienie. Gdzieś w kosmosie zaiskrzyło. Doszło do złamania zasad. Gwiazda, zamiast świecić na niebie, znalazła się na ziemi. W tym momencie dzieje się coś nieoczekiwanego. Niezrozumiałego. Lecz dzieje się. I to jest najważniejsze.

Pyta go o możliwość zrobienia zdjęcia. Mistrz akurat załatwia jakieś sprawy. Wokół gęstnieje tłum, po chwili nie da się oddychać. Już się rozniosło. Już każdy wie, kto tu stoi. Wszyscy się uśmiechają, komórki idą w ruch, aparaty pstrykają.

Obcokrajowcy, zaplątani przypadkiem w to miejsce, robią zdjęcie – może nawet nie wiedząc komu. Czasami ciężko im od razu skojarzyć, co się tu rozgrywa. Lecz na wszelki wypadek trzeba pstryknąć zdjęcie. Potem zawsze można się pochwalić lub wspomnieć. Albo też wykasować.

Mistrz go nie ignoruje. Mówi spokojnym głosem, prosi o chwilę, aż skończy rozmowę. Minuty nie wloką się w tej chwili. Właściwie czas nie istnieje albo też postanowił się zatrzymać. Może i on przygląda się ciekawie tej sytuacji? Czy gdyby miał możliwość, poprosiłby o selfie? A może on – jako jedyny z wszystkich tam obecnych – najlepiej zapamięta daną sytuację? Może jedynie on stanie się obserwatorem, któremu uda się zobaczyć wszystko. Mało tego, będzie się śmiał, mówiąc: „Gdybyście wiedzieli, ileż razy już dochodziło do pomieszania praw rządzących światem z powodu jednego człowieka!”

Mistrz kończy rozmowę i odwraca się do niego. Uśmiecha się. Jest spokojny. Niczego się nie boi. Nie ucieka na siłę. Nie zasłania się i nie wygląda na kogoś, komu by przeszkadzał tłum. Jest bowiem przyzwyczajony, z takimi sytuacjami jest za pan brat.

Jakiś czas później zobaczy wywiad w telewizji, gdzie mistrz powie znane mu już słowa: „Nigdy nie oganiałem się od fanów. Bez nich przecież nie byłoby mnie. Ja tutaj jestem dla nich.”

Jedno dotknięcie ekranu komórki sprawia, że zatrzymuje się w niej chwilę. Tak po prostu można ją złapać do zwykłego telefonu. Złapać i uwięzić. Pozostaje tam tak długo, dopóki

sami zdecydujemy, czy pozwolimy jej odejść. A czasami pozostaje tam jeszcze wtedy, kiedy i nas samych już tu nie będzie, bo ojedziemy prędzej, zapominając może o ukrytym w telefonie skarbie.

Już inni stoją na jego miejscu, już i oni kradną chwilę z życia, by móc się potem nimi karmić, kiedy ich serca będą tęsknić do czegoś innego, wygłodniałe, żyjące monotonnym życiem. Prędzej czy później każdego przecież dorwie chwila słabości. Wtedy będą mogli spojrzeć na ten moment i chociaż na parę sekund widok ten ogrzeje w niewielkim stopniu ich coraz bardziej twardniejące serca.

Ostatnia piosenka. Wszyscy wiedzieli, że dzieje się coś złego. W powietrzu czuło się nadchodzącą burzę. Lecz nikt nie chciał w to wierzyć. Lepiej jak struś schować głowę w piasek. Tak jest bezpieczniej. Bezpieczniej nie wierzyć swoim przeczuciom. Żyć chwilą, w której umysł sam się oszukuje. Jakby spokój był tu najważniejszy. Jakby spokój właśnie miał wszystkiemu zapobiec.

Ostatnia piosenka nagrana z córką, która jest kropla w kroplę podobna do mistrza. Serca nie gasną – to przekaz. Kiedy jego tu nie będzie, serca nadal będą płonąć. Nigdy nie zgasną. Tak musi być. Nie zgasną też poprzez pamięć. Pamięć ludzka zdaje się tak bardzo istotna w życiu i w rozumieniu wieczności. Jakby z niewiadomego powodu staramy się na siłę i za każdą cenę zapamiętać to, co było. Jakby to sprawiało, że stajemy się ludźmi. Pamięć, pomimo że tak często szwankuje, pozwala nawet tym sercom, których tu już nie ma, palić się nadal. Dzięki pamięci serca, które odeszły, nie gasną.

Nadal dla nas świecą, aczkolwiek nieco bledszym światłem. Może nasza pamięć ogrzewa je gdzieś w zimnym, nieznanym kosmosie.

Kiedy pomyśli, ilu ludzi żyło na świecie, żał mu ich. Ich doświadczeń, talentów. Tego, ile wśród nich było godnego zapamiętania dobra. Tego, że kamery nie mogły wtedy ukraść chwil dla rodzących się później generacji. Aparaty i telefony były jeszcze w fazie nienarodzonej. Jak wiele mogli nam przekazać, lecz dziś ich serca nie tłą się nawet małym płomykiem? Przecież tych milionów zapamiętać nikt nie zdoła. Może nie pamięta ich już nawet sama matka ziemia, która dawno wessała ich w siebie.

Przekaz tej piosenki jest bardzo silny. Wręcz doprowadza do łez człowieka bardziej uduchowionego. Nie poddawaj się, ja tu jestem z tobą. Cokolwiek się zdarzy, idź do przodu. Tylko Bóg wie, co dla nas zaplanował. I tylko on wie, że nie zdążymy zwiedzić wszystkich miejsc na świecie. Jeżeli porwie nas prąd, nie pozostaje nam nic innego, jak wraz z nim płynąć dalej. Jakkolwiek szybko biegnie czas, jakkolwiek w życiu wiodą nas tysiące tras, zawsze dojdziemy do końca, gdzie się spotkamy. I wiemy, że jeśli kiedyś zaczniemy się bać, po prostu musimy zrobić wszystko tak, by się nie poddać.

Te słowa powinien pamiętać każdy z nas. „Mogłyby być naszym życiowym mottem” – myśli Florek. Chodźmy więc wspólnie i nie pozwólmy, aby nasze serca zgasły.

Piosenka-pożegnanie nabrała wielkiego znaczenia w dniu odejścia mistrza. W ludzkich sercach pojawił się strach pomieszany ze smutkiem.